ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 9 września 1922 roku. № 36.

Juljusz German. Powieść.

36) TWARZ Z ZA KURTYNY.

— Na kogo tak patrzysz?

Odwrócił głowę. Z pod filaru sali uderzyły weń wyblakłe, turkusowemi przebłyskami jak resztką dawnej świetności zjarzone, oczy Podolanina. Zmętniała w nich zemsta bezsilna.

— Chciał mnie zabić — wypełznęło zjadliwe, w przyszłość ciężkim ciosem wznoszące się przypomnienie.

— Patrzę na tego, któremu nowa chcę być piękna, z którym chcę szukać w krainie wszystkich możliwości tego, co będzie, co być musi... Poznałam go przed chwilą, nimeś przyszedł...

— Ach, więc to tak — szepnął przez zęby. Zapanował dumnie nad podeptaną zawiścią, gotującą się już w nikczemnej odpłacie do szyderskiego ukąszenia pogardą.

— Twoja szczerość—rzekł z miłym uśmiechem.

— Właśnie szczerość... Przez nią tylko idę dalej, tylko przez nią... Bo muszę wreszcie raz nie być w kochaniu pokorną, górować nad tym, który weźmie ze mnie prawdę pragnień... Ale ty... Jeśli chcesz, zakaż... będę posłuszna...

Wzruszył pobłażliwie ramionami.

— Jabym na ciebie, człowieka wolnego, więzy miał nakładać...

— Pamiętaj — zwarła dłonie w modlitewnej prośbie — Ten czar, który ty widzisz we mnie... najodrębniejszy... Jeśli zechcesz, nie zginie dla ciebie... Bo „nigdy" to kłamstwo...

— Może masz słuszność... Myślisz o tych... splotach prawdziwych... Jako kochanków splot nasz na razie skończony...

— Skończony — powtórzyła. Drgnęła całą postacią. Powstała. Wyciągnęła za nim rękę, patrząc przed siebie przerażonemi oczyma.

— Boże, mój Boże... w tej sekundzie coś się stało... z kimś tobie najbliższym i mnie może...

Lecz Bronicz zwrócił się już do odejścia i słowa jej rozwiały się, zgłuszone tonami muzyki, grającej niecierpliwą, spieszną melodję...

Godzinę przedtem Lili obudziła się nagle z twardego snu. W ciemnościach sypialni rozejrzała się wzrokiem, pełnym jeszcze tego uśmiechu, którym w śnie najczystszą radością się śmiała.

I przed pustką zawodu się broniąc, przymknęła zaraz ciasno powieki, by wrócić do tych wrażeń sennych, delikatnie błogich, żywszych stokrotnie, niż rzeczywistość głucha i martwa, podsuwająca przed oczy majaki beznadziejnie znanych mebli i przedmiotów, osnutych kirem milczenia.

Oto już na odlocie moment rozkosznej a dziwnie łagodnej prawdy. Zatrzymać go, schwycić tęsknotą za skrzydła pajęcze, uprosić, by jej nie opuszczał! Przecież to życie, najistotniejsze życie, lepsze od tego, które teraz w każdym dniu oczekiwaniem tylko ciężkiem się przewija.

Śniło się jej — a każdy szczegół obrazu na pastelowem tle wytwornie się wycinał — że była w jakiejś gospodzie w górach. Za oknami poszarpane skały, oślizgłemi lodowo zboczami spadające w przepaść. Sinoczarne zwały chmur na szczytach, strugi ulewy skręcają się w wichrze. Do izby wchodzi zbłąkany podróżny, ocieka deszczem, w płaszcz zatulony po oczy. Lecz z tych źrenic patrzy ktoś słodko znajomy. Samotny, znękany, ogrzać go, otulić! Od burzy trzęsą się ściany gospody, sami jedni w odludziu bezkresnem. I w kącie jedno tylko łoże, skórami zasłane. Zasłon płaszcza odchyl z twarzy, wędrowcze... O uciecho przemile kojąca, w tajemniczej obcości znaleść uśmiech marzeniom najbliższy! Któż to się śmieje, jak panna zakochana i zarazem jak rycerz - pacholę, junacką młodością pancerny? Czy z oczu twoich kto inny na mnie patrzy, czy to ty Zbigniewie, mój chłopcze? Wyłania się ze zwojów szat smukłość bladozłocista, w niej lśnią ciemno karminowe grona, jedno z nich nad sercem... Takie same znaczą się u chłopca, na torsie gładkim jak tarcza ze stali, i u dziewczyny na wybujałych piersi pąkowiu... Jakby z jednakiej urody dwie później wytrysły i niewieścia w męskiej bladym śladem pozostała... Jedna uroda... jednej kształt pieszczoty, ponad kwiaty płci wyczarowany... Zbliża się do niej, obejmuje ją tej urody dotknięcie, przenika całą promieniami słońca, utkanemi z woni cud-ogrodów... Jakie to dotknięcie przejmująco żywe, we wszystkiej pełni nerwów najrzeczywistsze niebiańsko... Pozostań, nie gub się, wróć! O wróć, chwilo aniołom wydarta!

Uśmiech Lili walczył próżno z ciemnością, która na kolorowe pastele snu narzucała mgieł swych niewzruszoną kamiennie jednostajność. Gasła w niej niepamiętna ekstaza, ucichał odczuć skarb, ledwo przychwycony...

Więc jednem przemożnem pragnieniem porwana, by ulatujące zawrócić senne, przebłogie wrażenie, nie stracić wieści o niem, istniejącej jeszcze przenikliwie, uniosła się na pościeli i w mrok rzuciła wołanie ciche a dźwięczne, jak ton, którym dzwoni czara z kryształu, gdy o jej brzegi srebrny sztylet trącił:

— Zbisiu, mój chłopcze, kochanku!

— Snu rzeczywistość niech z jawą się zmierzy, niech się zatrze ta między niemi granica, rozdarciem bolesna—rozkwitł w cieniach świadomości kwiat myśli płomiennej.

I równocześnie przez całą jej istotę powiała pewność nieuchronna: „Ta próba się spełni... Spełni się"...

A potem?..

— Kto wołał? Co to? — szarpnął się w rozbitych akordach głos Zbigniewa z drugiego pokoju.

— To ja. Czyś znowu przestraszył się, najdroższy? To ja.

Twoja, która wszelki strach od ciebie zawsze odegna...

— Nic... nic... Tylko w ciszy to nagłe wołanie... Drgnąłem. Czegoś chciała, ptaszyno?—spytał rzeźwiej.

— Przyjdź tu do mnie...

Zerwał się z posłania.

— Co ci jest? Może gorzej? Może znowu serce niepoczciwe boli?

— Właśnie mam się doskonale, cudnie... Idziesz?..

— Zaraz... Zaświecę tylko tę małą lampę. Pali się zawsze przez całą noc, a dziś jak na złość przed spaniem ją zgasiłem...

— Nie zapalaj światła. Zniszczyłoby jasność inną, która jeszcze teraz odblaskiem szczęścia lśni koło mnie... Jesteś...

Zawisły na jego szyi ramiona wykwitem sennego ciepła niby rumieńcami tęsknoty gorące, tchnieniem akacjowych płatków balsamiczne.

— Czułam cię tak wyraźnie przy sobie, z taką przejmującą słodyczą, choć spałeś w drugim pokoju... To było najprawdziwszą miłowania twego obecnością... Uciec jej nie dam... Zatrzymać muszę... niech trwa nieprzerwana... Chcę ciebie czuć teraz taksamo...

— Po toś zawołała mnie, po to, o moja...

Głos mu się złamał pod naporem fali, która opłynęła go bujnem weselem nieoczekiwanych wzruszeń.

— Tak, po to — odpowiedział szept słowiczy, ostatnią mgłę jego samotności rozpędzający radośnie, i ciaśniej zawarło się na nim przytulenie, jedwabistą miękkością wezbrane, pełne dobrego oddechu słońca, jak wiew z letnich, uśpionych w południową ciszę pól.

Lecz na budzący się w skrzydlatej pełni polot uniesień spadło ołowiem ostrze bolesnej pamięci:

— Lili, przecież nam nie wolno... nawet całować się... pamiętaj...

I próbował w rozpaczliwem szarpnięciu cofnąć się z jej objęć. Zdawało mu się, że, odsuwając się od niej, strzępy żywego ciała z siebie oddziera.

— O, lepiej było, lepiej mnie nie wołać!

Głos łamał mu się drewnianym chrzęstem, nabrzmiały spazmem jęku.

— To już nad możność wszelką... Ostatkiem sił walczę...

— Więc nie walcz! — zagrało nad nim pieszczotliwie pańskie wyzwanie.

— Nie podołam męce...

— Dość męki! — zjaśniał głos oburzeniem dumnem promienisty.

— Tybyś chciała...

— Żebyśmy oboje byli sobą wreszcie!

— Nie wolno! Przypomnij, jak ostrzegał! Że życie... życie jest na szali!

W czerni nocy zsiniały nad nimi mroźnem lśnieniem lica grozy, zamazane upiorną poświatą.

Wyleciał naprzeciw nich rycersko z ust Lili uśmiech odważny, zuchwale wdzięczny uśmiech wielkiej damy, odtrącającej precz wyziew pospólstwa, przed stugębnemi straszakami tłumu zbrojnej tylko w śmiałość wytwornego gestu i stal źrenic błękitną.

— Ja się nie boję...

— Ale ja za ciebie...

— Rycerzyk, wstydź się!

— Ach, bo jeszcze jedno twoje słowo...

— Mówię ci, dawno nie byłam tak silna... Jakby świeżą wiosną rozbudzona... Wyzdrowiałam... Połóż mi rękę na sercu. Równo bije, mocno. Śpiewa do ciebie, nie słyszysz?

— Serce twoje, o serce jedyne... Jakże dawno tu moje usta nie były...

— Witajcie słodkie! A moje czekają...

Przez strzęp sekundy jeszcze się zawahał. Przez atom mgnienia rozświetlił się jej myślom purpurowy niebezpieczeństwem sygnał przypomnienia: „a potem?"

„Chwil przyszłych szereg nieskończony"—pęd przez nią przebiegł dostojnej ufności, ozłacając dumę jej istnienia.

— Więc mam cię... ten sam jesteś, co był w śnie przed chwilą... powiedz... ten sam?

— Gdy moje ciało w niepamięć się zapadło, wyszło z niego i pieściło ciebie wszystko, co jest moją myślą, bo w niej nic prócz ciebie...

„Dwóch jest we mnie?"—mignęło błyskawicą echo już słyszane.

Splątały się ich szepty w dziecięco śpiewną melodję, rozdźwięczoną świegotem słów jak pocałunki wilgotne palących, podawanych z ust do ust w łunie największego, ostrożnie drżącego sekretu...

Jakby chcieli się schować w różową jaskinię powiewnego cudu przed kimś, który koło nich był...

Jakby z otchłani mroków ktoś wszystko wiedzący na nich patrzył...

Potęga pierwszego ożywienia się rozkoszy, rozpoczynania jej czar najrzewniej szaleńczy, spowiły ich jednego ofiarniczego płomienia obręczą, wszystką moc odczuwań świątynnie w nich zgłębiając, że uśmiechy plątały się z łzami, a nad pojęcie uśmiechów i łez stokroć wyższy wstawał świat wyobrażenia o niepokalanem szczęściu, które z tajemnicy do nich się nachylało.

Łkająca skarga zachwytu rozjękła mu się w głosie młodym, gdy zgłodniałe, tak długo dla nikogo piękne jego usta spotkały się z przywitaniem jej łona, tchnącem świeżością rozkwitłych bzów i winnych gron w słonecznym upale.

— Odzyskuję utracone raje, nie na nowo, po raz pierwszy je odkrywam, poję nieugaszoną tęsknicę wonią bogini, pani nad krasą leśnych łąk i nad żywicznemi oddechami sosen...

A skroń mu pieścił wiew najradośniejszego wyznania:

— Tak, to ta chwila aniołom wydarta, wróciła tasama...

Rzucił się w wędrówkę po jej piękności obłąkaną cudnie, w śnieżystej bieli szukając barw różanych, bratnich blaskom nowego wschodu, który ogniście go uskrzydlał.

Zgasło, przepadło wszystko, co było zgrzytliwem szczegółów tylko ciała przypomnieniem, myślą o skazaniu ich na srom powszedni nienawistnie ciemną, podobną do ciężkich kropel błota ciskanych na kwiaty.

Z czystych kwiatów przedziwnej tkaniny, płomieniem życia w zjawisko kształtu rozpalonej, dotykały jego ręce i usta w nabożnym pożarze.

Każdy jej ciała załom aksamitny, każde westchnienie uroku, wybujałe harmonijnie jak fala, niewyczutą, niewymarzoną dotąd odsłaniały mu słodycz.

Jakby owijał go wieniec kwiatów, których kielichy najwonniejszemi ustami ożyły...

Niewiadomym dotychczas pragnieniom odpowiadała najściślej, najczulej ta jaśń jej miłosnej istoty, przepojona wszystkich wdzięków najświetniejszą mocą.

I porwało go promienne uczucie, że sam jest wyzwolony królewsko z więzów krępujących lękiem i mętną, bolesną niepewnością, że schowana w nim najcenniejsza perła istnienia dopiero teraz światłem swem tajnem rozbłysła, że w tej chwili wreszcie obraz najdoskonalszy tego, czem jest właściwie, w prawdziwej zarysował się pełni, a wszystkie inne, w których złudnie widział siebie, mirażem były drwiącym, pełnym skaz i braków... że jak z posągu skrytego w chusty żałobne, opadają z niego ciężkie zwoje zasłon, ginąc pokornie w ramach rozpostartej obok ciemności...

Dalszy ciąg nastąpi.

XAWERY GLINKA.

CZERWONA MASKA.

1.

Było to dnia 23 grudnia. Od samego rana padał śnieg. Biały, puszysty, miękki śnieg. Padał grubemi płatami i miało się wrażenie, że to jabłoń kwitnąca zimy osypuje swój kwiat. Coś dziewiczego było w tym śniegu, tak pieszczotliwie otulającym ziemię.

Siedząc przy rannem śniadaniu, w swym zacisznym pokoju jadalnym—Jan Demler obserwował przez duże okno nawprost siebie tę białą, dobrotliwą ponowę. Jeszcze wczoraj czarne i nagie gałęzie drzew — uginały się dzisiaj pod białym ciężarem śniegu. Jeszcze wczoraj świat był taki czarny i brzydki — dziś stał się naraz taki dobry, taki łaskawy, taki bezgranicznie łaskawy. Wczoraj był niby nędza ludzka bezmierny — dziś zmalał i skurczył się do rozmiarów przytulnych małego dziecinnego łóżeczka: stał się naraz taki wygodny, cichy i biały.

W jadalnym pokoju Demlera było ciepło. Na kominku wesoło płonął ogień, a zapach świeżo palonej kawy mile łechtał podniebienie. Demler siedział przy stole w rannem ubraniu z miękkiej wełny i w wojłokowych pantoflach. Patrzył w okno, popijał dymiącą kawę z filiżanki, smarował suto masłem świeżem chrupiące w zębach rogaliki i znowu patrzył w okno.

Było mu dziwnie dobrze i spokojnie na duszy.

W przyległej kuchence krzątała się żona Demlera. Była to miła kobiecina o wyglądzie raczej młodym i ujmującym pomimo swych lat czterdziestu. Demler słyszał przez uchylone drzwi, jak wydawała dyspozycje kucharce. Z innej strony domu dochodził go głos jego dzieci: piętnastoletniego Henryka i trzynastoletniej Anny. Rozprawiali coś głośno na temat choinki, którą ustawiono w saloniku i którą trzeba było ubrać.

— Jutro wigilja—pomyślał leniwie Demler — i znowu spojrzał w okno. Tym razem jednak w spojrzeniu jego mignął cień ledwo dostrzegalny. Łagodnie ściągnęły się brwi. Z głębi oczu powiał smutek. Jasną myśl o jutrzejszym dniu — zmroczyło jakoweś nagłe przypomnienie rzeczy nad wyraz przykrej.

Rozmowa w kuchni ustała—zato dzieci sprzeczały się coraz głośniej o to, czy na czubie choinki ma zawisnąć pozłacana gwiazdka z tektury czy anioł. Demler wsparł głowę na dłoniach i zapatrzony w okno zdawał się nic nie słyszeć.

— Idziesz dziś do sądu — rozległ się tuż za nim głos żony.

Demler odwrócił oczy od okna i spojrzał na mówiącą. Nie odrazu jednak odpowiedział. Musiała powtórzyć pytanie. Wówczas ciężko wstając od stołu wybąkał:

— Do sądu — tak... nie... do sądu — może jutro pójdę...

— Jutro — Bój się Boga—Jutro przecież dzień wigilji. Mogliby przecież dać ci spokój przynajmniej w święto.

— Nie wiem—nie wiem jeszcze nic. Czekam wezwania. Możliwe, że nie przyślą. Ty wiesz przecie — że nigdy nie można przewidzieć godziny, kiedy przysyłają po mnie.

I znowu z oczu Demlera powiał smutek.

— Smutną będziemy mieli wigilję — rzekł nagle nieoczekiwanie nawet dla samego siebie.

— Myślisz o Eryku — spytała żona, a w pytaniu nie kryło się oczekiwanie na odpowiedź. Tej odpowiedzi była zupełnie pewna.

— Tak, o Eryku. Kto wie, gdzie się on teraz znajduje.

— Gdybyż powrócił—westchnęła głęboko Demlerowa i łzy zakręciły się jej w oczach na wspomnienie najstarszego syna, który już rok temu zaginął bez wieści. A był to syn najukochańszy zarówno u matki, jak u ojca.

Demler spojrzał na żonę z pod brwi ściągniętych—i szybko odwrócił oczy. I znowu usiadłszy przy stole, zapatrzył się tępo w bielejący za oknem świat...

2.

Obecne życie Jana Demlera — było ciche i spokojne, przynajmniej na pozór. Upływało ono w otoczeniu kochającej go rodziny, w zaciszu ogniska domowego, w którem dnie mijały w niezamąconej pogodzie.

Wypełnione to życie było zgodnie godzinami pracy i wypoczynku, przyczem praca, zajmowała znacznie mniej czasu niż wypoczynek.

Demler miał posadę przy Sądzie Okręgowym, a ściślej mówiąc, przy więzieniu Sądu Okręgowego. Jaka to była posada, spełniania jakich funkcji wymagała — tego bliżej nikt określić nie umiał, a najmniej najbliższa rodzina Demlera. Wiadomem było tylko to — że praca na posadzie tej była dorywcza, godziny tej pracy ściśle nieokreślone i że przed każdym udaniem się Demlera na posadę — przychodziło wezwanie Zarządu Więzienia, nakazujące mu stawić się o tej a o tej godzinie. Najczęściej Zarząd Więzienia wzywał Demlera na godzinę ranną, bardzo wczesną, znajdującą się zwykle, w zimie i w lecie, na pograniczu nocy i dnia.

Po każdem takiem wezwaniu Demler powracał do domu stosunkowo prędko, po dwuch albo trzech godzinach, zmęczony i osowiały. Zarówno żona Demlera, jak i jego dzieci unikały wówczas wszystkiego, coby mogło zakłócić spokój zmordowanemu po pracy mężowi i ojcu.

Często zdarzało się, że mijały dnie, nawet tygodnie — a Demlera do pracy nie wzywano. Pozostawał wtedy cały czas w domu, mało wychodząc, oddając się całkowicie wypoczynkowi a raczej niezakłóconemu niczem próżnowaniu. W te wolne od pracy dnie Demler nie robił nic, jadł, spał, czytał niekiedy Biblję i pisał pamiętniki.

To pisanie pamiętników było najmniej lubiane w domu. Demler zamykał się wówczas na klucz w swoim pokoju — z którego mógł nie wyjść nawet przez dzień cały, nie jedząc nic i nie widząc nikogo. W całym domu musiała wówczas panować absolutna cisza. Pamiętniki swe Demler chował w szufladzie biurka, klucz od której miał zawsze przy sobie. Tego klucza strzegł jak oka w głowie.

Takie było obecnie życie Demlera — ciche pozornie i mało urozmaicone.

Ludzie, z którymi się stykał, lubili go. Lubili go za jego zrównoważoną postawę człowieka poczciwego. Jego postać barczysta i krępa— ujmująca była i wzbudzającą zaufanie. Jego oczy — miały wyraz niezmiernie poczciwy. Ludzie widzieli, jaką miłością otaczał swoją rodzinę — i w opinji ich cieszył się on jako najlepszy wzór męża i ojca.

Krążyły wprawdzie o nim głuche i bardzo nieśmiałe plotki, obracające się dokoła jego przeszłości, o której nikt jednak nic pewnego nie wiedział, ale zresztą kogoż to języki ludzkie pozostawią w spokoju — a w tym wypadku kredyt moralny, jaki Demler posiadał u ludzi, zamykał najbardziej pyskujące gęby kumoszek, gdy w rozmowie ich padło czasem jego imię.

Ten kredyt moralny pozwolił swego czasu Demlerowi, mniej więcej przed laty dwudziestu, pojąć za żonę piękną i zamożną córkę miejscowego kupca kolonjalnego, z którą po dzień dzisiejszy w szczęściu i bogobojnie, w otoczeniu dzieci — używał cichego żywota małżeńskiego.

Kim był i co robił do czasu przybycia swego do owego miasta, gdzie odkąd go ludzie pamiętają piastował posadę przy Zarządzie Więzienia Sądu Okręgowego — nie wiedział nikt, nawet jego najbliżsi.

Żonie swej, jakoś wkrótce po ślubie, zwierzył się, że pochodzi z odległej prowincji, i że po śmierci rodziców swych, którzy mu nie zostawili żadnego majątku, zmuszony był opuścić swe rodzinne strony w poszukiwaniu zarobku. Te skąpe zaiste informacje — były jednak widocznie w zupełności wystarczające dla pani Demlerowej, skoro w ciągu dwudziestu lat wspólnego pożycia nie zapytała go więcej o nic.

Tak mniej więcej przedstawiało się zewnętrzne życie Demlera—gdy tymczasem, w istocie swej, życie to kryło w sobie pewną, ścisłą tajemnicą otoczoną, tragedję.

3.

Mniej więcej przed laty dwudziestu pięciu, w mieście, w którem obecnie mieszkał Demler — Sąd Okręgowy wyrokiem swym skazał niejakiego Pawła Kłodę na karę śmierci przez powieszenie. W motywach wyroku tego było podane między innemi, że ów Paweł Kłoda, młodzieniec dziewiętnastoletni, dopuścił się zbrodni ojcobójstwa. Fakt zbrodni, niezbicie ustalony przez szereg dowodów rzeczowych — został dokonany w sposób wykluczający wszelkie okoliczności łagodzące.

Wyrok Sądu zapadł wieczorem— i Kłodę, pod silną eskortą odstawiono do więzienia, z tem, że nazajutrz o świcie wyrok zostanie wykonany.

Kłoda spędził tę noc przedśmiertną w celi wilgotnej i ciemnej, nie zmrużywszy oka. Rozmyślał nad życiem swem w zaraniu złamanem, nad popełnioną zbrodnią, której faktu sam sobie wytłomaczyć nie umiał, nad czekającym go stryczkiem — i było mu wszystko jedno. Nie czuł żalu za życiem — raczej pragnął gorąco, by to wszystko już raz się skończyło.

Oczekiwał z niecierpliwością świtu — który mu miał przynieść ostateczne wybawienie. Przez zakratowane w górze okienko celi widział gwiazdy — i widok tych dobrotliwie mrugających gwiazd był jedyną rzeczą, której żałował na ziemi.

— Jutro już gwiazd nie zobaczę — myślał i myśl ta wprawiała go w roztkliwienie.

Wsłuchiwał się następnie w dochodzący nawet przez grube mury więzienne głuchy gwar miasta, które w tę noc wiosenną wdychało całą piersią życie... I życie to—wydawało mu się mimo jego lat dziewiętnastu —mało nęcącem i zupełnie obcem...

Gdy nadszedł świt i nikt nie przyszedł po niego, gdy minął następnie dzień i znowu nadeszła noc — Kłoda wpadł w stan tępego odrętwienia. Nie rozumiał zupełnie, dlaczego jeszcze żyje, dlaczego przedłużają mu godziny oczekiwania na to, co stać się musi i na co był już zupełnie gotów. W przebłyskach nagłych zdrętwiałej i zamroczonej świadomości—bawił się zgadywaniem terminu, kiedy się to stanie.

Minęła wszakże noc i nikt nie przyszedł znowu.

Wtedy Kłoda wpadł we wściekłość.

Zaczął bić pięściami w drzwi celi, a gdy w okienku ukazała się wystraszona głowa dozorcy — zwymyślał go od ostatnich, domagając się wykonania wyroku.

— Idź do dyrektora więzienia — krzyczał Kłoda — i powiedz mu, że nie ma prawa odwlekać z wykonaniem wyroku, skoro sąd kazał mnie powiesić nazajutrz. Jakiem prawem już drugą dobę żyję jeszcze—skoro żyć już nie mam prawa.

Twarz dozorcy znikła w okienku — i niewiadomo czy żądanie Kłody było zakomunikowane tam, gdzie należy czy też nie — faktem jest jednak, że nad wieczorem do celi skazanego ojcobójcy wszedł sam dyrektor więzienia w asyście dozorcy.

— Nareszcie — pomyślał Kłoda i zrobiło mu się jakoś lżej na duszy.

Tymczasem przybyli zamknęli za sobą szczelnie drzwi, i dyrektor zwrócił się do Kłody z pytaniem:

— Podobno niecierpliwisz się mój chłopcze. Pilno ci widzę do ziemi. Daj spokój—jeszcze zdążysz. Niema się dokąd tak znowu spieszyć. Co nagle — to po djable...

Dyrektor był widać w dobrym humorze — i to go pobudzało do dowcipów, które jak sądził w swem naiwnem otłuszczeniu egoistycznem, nie mogły być nigdy nie na miejscu.

Lecz Kłoda nie odpowiedział nic. Był zgnębiony i ponury. Rezygnacja, która nagle i niespodzianie zawiesiła mu u ramion kamienie młyńskie—przygwoździła mu jednocześnie język do wyschłego na pieprz podniebienia. Wszystkie władze duchowe odstąpiły go jak najlepsi przyjaciele w chwili nieszczęścia. W tej chwili było mu naprawdę wszystko jedno — czy go powieszą zaraz czy za tydzień.

Tymczasem dyrektor jakby wyczekując, że Kłoda będzie go o coś prosić — wpatrywał się dłuższą chwilę w bladą twarz skazańca — i milczał. Wreszcie wycedził wolno— nie spuszczając oczu z Kłody:

— Czy chciałbyś żyć.

W Kłodzie ruszyła się cała schowana czy przytajona na dnie duszy gorycz. Pytanie zakrawało na szyderstwo. Zaciął się jednak i milczał.

— Gdybyś chciał—ciągnął dalej dyrektor — mógłbyś powrócić do życia. Musiałbyś tylko zgodzić się na jeden warunek...

— Jakiż to warunek — nie wytrzymał Kłoda próby kuszenia.

— Warunek jest dosyć ciężki. Zresztą — mój Boże — to zależy... Chodzi o to, że przy naszem więzieniu wakuje posada kata. Jak widzisz, tylko temu zawdzięczasz, że żyjesz dotychczas. Otóż gdybyś zechciał spełniać obowiązki kata więziennego—to mam upoważnienie sądu darowania ci życia. Ostatecznie nie miałbyś tak wiele do roboty. Skazanych na śmierć bywa stosunkowo mało. Często mija jeden, drugi tydzień, a szubienica stoi nieczynna.

Dyrektor umilkł i czekał odpowiedzi z pewnem zniecierpliwieniem, z którego wywnioskować było można, że nie był pewnym odpowiedzi.

Kłoda przez czas jakiś nie mógł dobrze zrozumieć — co mu proponuje ten skądinąd dobroduszny człowieczek.

— No, namyśl się—nalegał dyrektor. — Gdybyś się zgodził, ułatwilibyśmy ci życie wśród ludzi, zachowując ścisłą dyskrecję co do funkcji, jakie spełniasz w więzieniu. Nikt, nigdy nie dowiedziałby się — że jesteś katem. Musiałbyś tylko zmienić nazwisko. Pozatem jako kat — występowałbyś w płaszczu i w masce — któreby pozwoliły ci zachować zawsze incognito.

Dyrektor mówił coś jeszcze — ale Kłoda już tego nie słyszał. Wewnętrznie — był już katem. Okazało się, że żądza życia była w nim mimo pozorów silniejszą — od odrazy, którą w największym zbrodniarzu wywołuje katowskie rzemiosło.

— Zgadzam się—rzekł ponuro, i coś się w nim wewnętrznie zacięło na zawsze.

Dalszy ciąg nastąpi.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

30) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

XVI.

ZERWANY MOST.

Stara Anuszka przyjęła swego pana z ogromną radością, a radość ta świadczyła wymownie, jak bardzo poczciwa sługa lękała się, że go już więcej nie zobaczy.

Żołnierze, odwołani rozkazem telefonicznym, opuścili właśnie mieszkanie. Został po nich jedynie silny odór skóry ich butów.

Podczas gdy kucharz przyrządzał śniadanie, Anuszka zgrzała kąpiel, sama zdjęła obuwie Sawinskiemu i przyniosła mu szlafrok.

— Dzięki Bogu—rzekła—że oto baryń już w bezpieczności. A myślę, że i ta piękna panienka również.

— Tak — odpowiedział Sawinski — dzięki Bogu, jest wolna.

I łzy napełniły mu oczy.

Po jedzeniu, nieprzeparte zmęczenie powaliło go na otomanę. Spał długo snem ciężkim, przerywanym okropnemi widzeniami. Ukazywały mu się chude, jak piszczałki, nóżki dziewczynki, płaczącej w objęciach matki. Potem jakiś mężczyzna o zakrzywionym nosie skakał dokoła niego w szatańskich pląsach. Nagle zatrzymywał się, patrzył mu prosto w oczy i bezbarwnym głosem pytał: „Możesz mi pan dać adres Spasskiego?" A podczas, gdy mówił, cztery aparaty telefoniczne za jego plecami dzwoniły bezustannie. Hałas ich napełniał uszy Sawinskiego, który leżał, jak przygwożdżony do otomany oczami tego mężczyzny.

Nagle obudził się; telefon dzwonił najawie. Pobiegł do aparatu. W imieniu Simeonowa poproszono go, by około czwartej zaszedł do komisarjatu spraw zagranicznych. Wzdrygnął się i przetarł oczy, jakby chcąc rozpędzić resztki owych okropnych sennych widziadeł. Wyjrzał przez okno. Ściemniało się już. Zegarek wskazywał trzy kwadranse na czwartą. Nie miał chwili czasu do stracenia.

Wpierw jednak starał się połączyć z Lydją. Gdzie się z nim chciała zobaczyć?.. W domu nie mógł być wcześniej, niż o piątej. A może się jeszcze spóźni... Ale niech Lydja poczeka. Anuszka da jej herbaty. Czysty głos Lydji odpowiedział mu twierdząco.

* * *

W dwadzieścia minut potem Sawinski znalazł się w obliczu Simeonowa w wielkim gabinecie w stylu Empire, żółtym i pąsowym, gdzie niejednokrotnie konferował z Sazonowem. Wszedł tu pełen urazy, a jednocześnie trwogi. Zuchwalstwo Simeonowa przechodziło wszelkie granice. Kazać go tak aresztować w nocy, tego nie można było ścierpieć. Ale świadomość, że Simeonow należał do stronnictwa wszechpotężnego i bez skrupułów nakazywała mu panowanie nad sobą. Należało uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Simeonow pobiegł na jego spotkanie. Zdawać się mogło, że stracił tę lodowatą wstrzemięźliwość, w jakiej się zwykle zamykał. Objawił rzeczywisty gniew na myśl, że jego przyjaciel Sawinski mógł być w ten sposób zaaresztowany i zaprowadzony do więzienia. Była to głupota niezależnej komisji, która działała na ślepo i chciała być ogromnie gorliwą. Simeonow powiedział w dalszym ciągu Sawinskiemu, że, powiadomiony zrana o dziewiątej przez Anuszkę, nie stracił ani chwili, wezwał do telefonu Urickiego, który spał po całonocnej pracy, i polecił mu na swoją własną odpowiedzialność uwolnić niezwłocznie Sawinskiego.

— Zaręczyłem za pana, Mikołaju Władymirowiczu, jak za siebie samego—dodał z bladym uśmiechem.— Znasz pan wszystkie moje myśli. Nie mam nic tajnego przed panem. Pan nam będziesz nieodbicie potrzebnym. Będziesz pan jeszcze z nami pracował.

Rozmowa trwała krótko i Sawinski odszedł pod wrażeniem, że jego interlokator grał w otwarte karty i że od tej chwili położenie jego było pewniejszem.

Ale w powrotnej drodze do domu opadły go wątpliwości.

— A może to także komedja?— myślał. — Może wiedział naprzód o wszystkiem? Może sam zarządził moje aresztowanie? Może chce w ten sposób wywrzeć na mnie nacisk i dać mi do poznania, że jestem w jego rękach?.. A Lydja?.. Czy wie, że Lydja była u mnie? Niepodobieństwo, aby tego nie wiedział. Czy i tą bronią zechce się posłużyć?

Uderzyło go wreszcie, że Simeonow nie wspomniał ani słowem o tem, co spowodowało rozkaz rewizji i aresztowania. Również ani słowa o Spasskim! To było dziwne i dawało do myślenia. Nie mógł przecież pominąć przypadkowo milczeniem sprawy tak ważnej.

W chwili obecnej, w pełni rokowań z mocarstwami centralnemi kwestja Donu zajmowała żywo ludowych komisarzy.

Czoło Sawinskiego chmurzyło się i marszczyło pod natłokiem tych myśli. Szedł szybko z głową spuszczoną. Raptem podniósł oczy... Był naprost swego mieszkania. Okna gabinetu były oświetlone... I wszystko poszło w zapomnienie.

W kilka chwil później trzymał Lydję w objęciach. Z ustami na jej ślicznym karczku wdychał upajającą woń młodości. Czyż za jedną taką minutę nie warto było zapłacić nową udręką i smrodliwem powietrzem więzienia?

Milczał i słuchał Lydję mówiącą. Sama muzyka jej głosu była balsamem na wszystkie cierpienia. A ona tymczasem opowiadała mu o powrocie do domu, o radości, z jaką powitała swój pokój, swoje mebelki i tę czystą atmosferę, jaka tam panowała, a potem o rodzinnem śniadaniu i o swoim ogromnym apetycie.

— Ojciec twierdzi, że nigdy nie wyglądałam tak dobrze—rzekła, śmiejąc się.—Zaprowadził mnie na chwilę do siebie. Ach! gdybyś wiedział, jaka mnie brała chętka powiedzieć mu, że jestem twoją... A może on sam odgadł?.. Nie, nie, to niemożliwe; ale ze sposobu, w jaki na mnie patrzy czasem, wyobrażam sobie, że widzi bardzo daleko w mojej duszy i takie rzeczy, które powinny zostać ukryte. W gruncie, on pragnie tylko jednego: chce, żebym była szczęśliwą. W jaki sposób—o to się nie troszczy. Jednego się tylko lęka: by czasy, w jakich żyjemy, nie pozbawiły mnie tego należnego mi szczęścia... Ale rozumiesz, że nie może wypowiedzieć tego, co czuje. To też to idzie tak od niego do mnie w takich chwilach, kiedy milczymy, a przecież zdajemy się rozmawiać ze sobą bez wymówienia jednego słowa... Tylko myśli nasze przelatują ciepłe, pieszczotliwe, nieme... Ja też nie śmiałam mówić i zostawiłam go, aby sobie odpoczął. A potem spałam długo, dopóki mnie nie obudził twój telefon. A teraz jestem przy tobie, w twoich objęciach, na mojem miejscu... Kocham cię. Kochałam cię zawsze, czyż o tem nie wiesz? Pamiętasz, ten pierwszy raz,

kiedy upadłam u twoich stóp... Podniosłeś mnie... Byłam, jak oszołomiona... Czułam tylko, że jestem w twoich objęciach... Bardzo prędko odzyskałam przytomność, ale — czy mam ci się przyznać?.. Co sobie o mnie pomyślisz?.. Udałam zemdloną jeszcze, by dłużej pozostać przy tobie.

A potem zniknąłeś mi z oczu na tak długo! Gdzie się kryłeś, niegodziwcze?.. Zamknąłeś się u siebie, przy twoich... Miałabym ochotę cię wybić!.. — rzekła zmienionym głosem. — Przez pół roku się kryłeś, przez pół roku nie pomyślałeś o mnie... Byłeś szczęśliwy zapewne... Ach! powiedz, błagam cię, że nie byłeś szczęśliwy bezemnie. (Prawdziwa boleść zadrgała w jej głosie). Ale w każdym razie mogłeś żyć, nie szukałeś mnie. Trzeba było, żebyśmy się zetknęli przypadkiem u Natalji... Ja, oczywiście, wiedziałam, kto ty jesteś... Ale ty nie znałeś nawet mego nazwiska... To i tak wiele, żeś mnie poznał... Nie zapomniałeś o mnie, powiedz?

— Czułem wciąż twą postać uroczą i giętką w swoich objęciach— odpowiedział Sawinski.

* * *

Odprowadził ją do domu w porze obiadowej. Miljonnaja była pustą. Na rogu Aptekarskiego Pereułka, pogrążonego w ciemnościach, stała gromadka żołnierzy nieruchomych i milczących w lodowatym mroku. Jedna, jedyna latarnia płonęła i oświeciła na chwilę uśmiechniętą twarzyczkę Lydji. Żołnierze spojrzeli na nią i przepuścili rozkochaną parę, nie rzekłszy ani słowa.

Sawinski i Lydja, całkowicie zajęci sobą, nie zauważyli ich nawet.

Sawinski, odprowadziwszy Lydję do domu, zawahał się chwilę, poczem, zamiast do siebie, poszedł na obiad do sąsiedniego klubu. I nie domyślił się zgoła, że uniknął w ten sposób nowej niespodzianki rewolucyjnego życia, że gdyby był przeszedł sam koło tych żołnierzy, byłby zostawił w ich rękach pugilares, futro, ubranie, a może nawet i obuwie.

* * *

Usnął bardzo późno w łóżku, w którem wydało mu się, że odnajduje osobę Lydji. Była to woń lekka i nieuchwytna, która zjawiała się i znikała, pozostawiając po sobie coś świeżego i palącego jednocześnie, coś prawie namacalnego, co przybierało kształty i rozwiewało się wnet potem...

Rano Anuszka, przyniósłszy mu śniadanie, położyła na łóżku dzienniki, i oto na pierwszej stronicy „Izwiestji" Sawinski wyczytał tłustemi czcionkami wydrukowane:

Rewolucja w Finlandji. Rząd burżuazyjny obalony. Sowiety przy władzy.

Drżącą ręką rozwinął dziennik. Bolszewicy finlandzcy, poparci przez marynarzy i żołnierzy rosyjskich, dokonali zamachu stanu. Opanowali Helsingfors i całe południe Finlandji. Rząd burżuazyjny zdołał schronić się w północnej części kraju.

Och! Te smutne, zimowe poranki Petrogradzkie! Jakiż ich wpływ jest przytłaczający! Najbardziej zrównoważeni ludzie są bez sił i przedsiębiorczości. To są godziny, w których życie jakby zastygało w sercach ludzkich, na podobieństwo tego niepewnego światła nad miastem, na niebie bladem, jakby wyczerpanem zbyt długą nocą i walczącem z trudem, by zatryumfować nad ciemnością.

Sawinski zdrętwiał.

Żona, jego dzieci w tej zawierusze! Bez niego!.. Najczarniejsze myśli zaludniły jego wyobraźnię... Żołnierze ogarniali willę... Rozpanaszali się w niej... Straszliwy nieład, płacz dzieci... A Sonia młoda i piękna wśród tych rozpasańców!.. Ach! gdyby się był pospieszył! Cóżby dał, żeby mógł wiedzieć, że jest bezpieczną w spokojnej Szwecji!..

I co robić?.. Jechać tam?.. To było jego obowiązkiem!.. A Lydja?.. Na myśl o niej coś się w nim zbuntowało. Nie mógł jej opuścić; nie mógł zostawić ją samą choćby na jeden dzień, nie uprzedziwszy jej o tem. Miała także prawo do niego i czuł, że niepodobieństwem było oznajmić jej telefonicznie, że jedzie do Finlandji połączyć się z rodziną w godzinie niebezpieczeństwa...

Ubrał się zwolna trapiony najsmutniejszemi myślami. Około jedenastej udał się niemal machinalnie do sztabu, teraz bowiem trzeba było brać nową wizę na każdą podróż do Finlandji.

W biurze pasportowem jakiś urzędnik oświadczył mu, że dziś nie wydaje się wiz i że do Finlandji można jechać jedynie w sprawach służbowych. Niech się zgłosi jutro...

Konieczność odłożenia podróży sprawiła ulgę Sawinskiemu. Natknął się na przeszkodę materjalną, która pozwoliła mu przynajmniej żyć w zgodzie z własnem sumieniem.

Lydja przyszła do niego popołudniu promienna i tkliwa. I Sawinski dał się porwać w czarodziejski świat, jaki mu jej pieszczoty otwierały. Gdy Lydja była przy nim, myślał tylko. Dopiero na odchodnem chciał jej powiedzieć o rewolucji w Finlandji, ale dał pokój.

— Dość będzie czasu jutro, jeżeli mi dadzą wizę — rzekł sobie i porwał kochankę w objęcia.

Wieczorem zobaczyli się u Nataszy. Po raz pierwszy mieli się spotkać publicznie. Sawinski pragnął i lękał się tego. Czy potrafi poskromić namiętny ogień spojrzenia, gdy będzie patrzał na nią? A ona sama, czy będzie miała dość siły, by udawać obojętność?

Zadając sobie te pytania, wszedł do salonu Szupow-Karaminow. Pierwszą osobą, jaką zobaczył, była Lydja. Ubrała się w tę samą czarną suknię, którą miała na sobie w więzieniu, tę samą, którą przed dwoma dniami Sawinski rozpinał gorączkowo, gdy mu się Lydja oddała.

Fala wspomnień zalała mu duszę. Przystanął. Głos Natalji Szupow-Karamin przywołał go do teraźniejszości, a słowa, jakie wypowiedziała, zelektryzowały go poprostu.

— Mikołaju Władymirowiczu — rzekła—chodź pan opowiedzieć nam swoje wrażenia więzienne.

Sawinski uznał był, że rozsądniej nie wspominać o swojem zaaresztowaniu, co mogło mu przyjść tem łatwiej, że, szczęśliwym trafem, nie spotkał nikogo ze znajomych na Gorochowej. Któż więc powiedział Natalji? I nagle błysnęło mu jedno nazwisko: Simeonow.

Oddawna już podejrzywał jakieś tajemne konszachty pomiędzy piękną Natalją a komisarzem bolszewickim... Ale co on jej opowiedział?.. Czy wspomniał o Lydji?..

Tu Sawinski, pomimo całego panowania nad sobą, zaczerwienił się. Instynktownie spojrzał na Lydję, która, jak wszyscy goście, słyszała to fatalne zapytanie.

Twarzyczka jej promieniała szczęściem. Zapewne ta wzmianka tutaj, w salonie, o nocy, spędzonej na Gorochowej, miała dla niej jakiś tajemniczy urok. Patrząc na nią, można było przypuścić, że, porwana żądzą wyznania prawdy, którą się szczyciła, chciałaby powiedzieć:

— I ja tam także byłam.

Dalszy ciąg nastąpi.